ŚWIATOWID

Nr. 48/485 ROK X
25 LISTOPADA
1933 R. NUMER ZA-
WIERA 24 STRON
W CZECHOSŁO-
WACJI Kc. 2·20.

ATAK GAZOWY NA WARSZAWĘ.



P. PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ PRZED MIKROFONEM.



Dnia 17 listopada p. Prezydent Rzplitej wygłosił z okazji 15-lecia niepodległej Polski przemówienie do radja, przeznaczone dla rodaków zza Oceanu, transmitowane przez 60 rozgłośni amerykańskich, w którem ze słuszną dumą stwierdził, że być Polakiem, to dzisiaj wielki i coraz większy honor.

11. LISTOPADA W KOPENHADZE.



Piętnastolecie Niepodległości obchodziła kolonja polska w Danji uroczystem nabożeństwem w kościele św. Anny w Kopenhadze, w którem wziął udział poseł R. P. M. Sokolnicki z małżonką i delegaci polskich stowarzyszeń robotniczych ze sztandarami. Na zdjęciu delegacje z ministrem Sokolnickim i jego małżonką przed kościołem.

SZOSA IMIENIA OSWALDA BALZERA.



Minister komunikacji nadał drodze państwowej Zakopane—Morskie Oko nazwę szosy im. prof. Oswalda Balzera, który w swoim czasie przyczynił się walnie do odparcia pretensyj węgierskich i przyznania Morskiego Oka b. Galicji, a temsamem Polsce. Szosa ta, licząca 31 km., jest przedłużeniem drogi Kraków—Zakopane i biegnie przez Jaszczurówkę, Łysą Polanę, obok Wodogrzmotów Mickiewicza do serca Tatr, Morskiego Oka. Zbudował ją galicyjski Wydział krajowy.

Niestety, obecnie stan tej drogi nie jest nadzwyczajny i dlatego należy domagać się, aby władze doprowadziły ją do porządku i przyspieszyły remont szosy zakopiańskiej na jej przestrzeni od Myślenic po Nowy Targ. Opinja publiczna jest zgodna z tem, że dłużej tej sprawy odwlekać nie można i że pomyślne jej załatwie nie jest kwestją prestiżu państwa. Na zdjęciu fragment szosy Zakopane—Morskie Oko, w kole u góry fotografja ś. p. prof. dra Oswalda Balzera.

OKRĘT POLSKI RATUJE NIEMIECKICH ROZBITKÓW.



Szalupa statku „Kościuszko" dąży na pomoc tonącemu statkowi niemieckiemu „Horst Wessel".



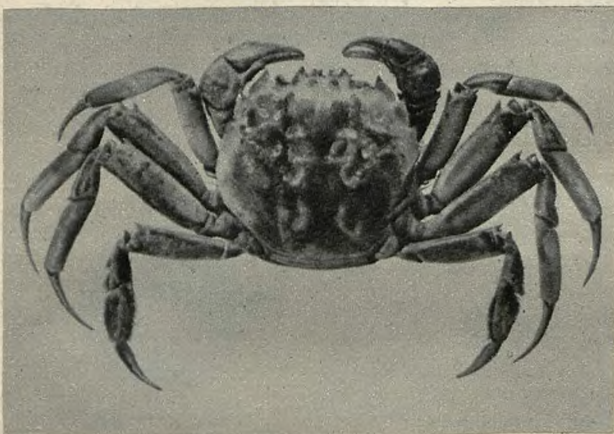
Uratowana załoga ze swoim dowódcą kpt. Olszowskym, kapitanem Borkowskim i komandorem Jacyniczem w Gdyni.

Statek „Kościuszko", płynąc z Nowego Jorku do Kopenhagi i Gdyni zauważył w pobliżu wybrzeża duńskiego niemiecki statek rybacki „Horst Wessel", sygnalizujący żądanie natychmiastowej pomocy. Wysłana szalupa zabrała na statek polski 12-tu ludzi, zaś „Horst Wessel", jako silnie uszkodzony, został holowany w kierunku Kopenhagi. Jednakowoż w ciągu drogi okazało się, iż uszkodzenie nie pozwoli na doprowadzenie niemieckiego statku do portu. To też „Kościuszko" pod wodzą kpt. Borkowskiego wraz z uratowanymi rozbitkami, skierował się do Kopenhagi, zkolei zaś do Gdyni, gdzie wysadzono na ląd niemieckich marynarzy. Zarówno kpt. Olszowsky, jak i marynarze „Horst Wessla" wyrazili gorące podziękowania załodze „Kościuszki" za ocalenie życia i życzliwe zajęcie się ich losem.

GOŚĆ Z CHIN W POLSKICH WODACH.

W rzekach polskich pojawił się ostatnio egzotyczny gatunek skorupiaka — krab wełnistoręki (*Eriocheir sinensis* M. Edw.), którego ojczyzną jest Azja wschodnia — Chiny i Japonja.

Najprawdopodobniej przybył on następującą drogą: statki mało ładowane, celem obciążenia się pompują do swego wnętrza pewną ilość wody, t. zw. balastową — otóż możliwem jest, że jeden z parowców, czerpiący wodę w którymś z portów chińskich wtłoczył do wnętrza z wodą malutkie larwy (t. zw. zoee) kraba wełnistorękiego, które w kadłubie okrętowym przetrwały długą podróż do Europy. Parowiec, przybywszy do jednego z portów europejskich, prawdopodobnie niemieckich, wypompował ową wodę chińską, wraz z którą larwy kraba uzyskały wolność. Widocznie



Egzotyczny skorupiak — krab wełnistokręgi, pochodzący z Chin i Japonji, który pojawił się ostatnio w Wiśle

znalazły one w wodach europejskich dogodne warunki bytu, gdy się przeobraziły w dorosłe kraby, które szybko się w nowej ojczyźnie rozmnożyły. Można też przypuszczać — co jest jednak mniej prawdopodobnem — że larwy lub dojrzałe kraby przebyły drogę z Chin do Europy uczepione obrastających kadłuby okrętów wodorostów morskich. Nie jest też wykluczonem, że dorosłe kraby przywieśli marynarze i je do morza w Europie wpuścili.

Mniejsza o to, w jaki sposób ten nieproszony gość dostał się do wód europejskich — faktem jest, że tu się silnie rozmnaża, a co gorsza bardzo rozszerza teren swego zasięgu.

Krab wełnistoręki składa drobniutkie swe jaja w wodzie słonawej ujść rzecznych. Młode krabiki, wielkości 10—45 mm, wędrują masowo w górę rzek. Wędrówka ta rozpoczyna się na wiosnę i trwa do czerwca. Nietylko większe rzeki są przez nie opanowane, przedostają się one do dopływów pomniejszych, potoków, kanałów, rowów i jezior. O ile młode kraby wędrują wgórę rzek, o tyle dorosłe osobniki (od 45—75 mm. długie) odbywają wędrówkę w kierunku odwrotnym — w dół rzek ku ich ujściom. Dorosłe kraby poczynają wędrować w sierpniu, w październiku i listopadzie następuje największe nasilenie wędrówki, a w grudniu kończy się ona. Ciekawem jest, że młode okazy wędrują w górę rzek w strefie przybrzeżnej, dorosłe kraby natomiast idą wdół rzek ich głównym nurtem.

Wzdłuż brzegu morskiego wędrują kraby wchodząc do ujścia rzek.

Te wędrówki kraba wełnistorękiego w rzekach nie są bynajmniej krótkie.

Odnośnie do wędrówek w rzekach niemieckich, mamy następujące dane: stwierdzono jego pojawienie się w Łabie, Elbie, w odległości 700 km. od ujścia, aż wgłąb Czechosłowacji; w Odrze 400 km.; w Wezerze 300 km. Wkońcu 1932 r. zasięg kraba wełnistorękiego obejmował przestrzeń od Belgji, przez Holandję, Niemcy, Polskę północną aż po jeziora mazurskie w Prusach wschodnich, czyli obszar 1300 km. długi.

W Polsce stwierdzono dotąd obecność tego skorupiaka w następujących miejscowościach: koło Helu na wiosnę 1932, w tymże roku w czerwcu w Noteci koło Drawska, a następnie w Wiśle pod Włocławkiem. W roku bieżącym w listopadzie złowiono jeden okaz w Warcie pod Poznaniem. Z powyższego widać, że krab ów posuwa się wgłąb Polski rzekami z dwu stron, Wisłą i Wartą; można się więc spodziewać, że w ciągu najbliższego roku zjawi się np. pod Warszawą.

Krab wełnistoręki powoduje szkody w rybactwie; niszczy on sieci, objada przynęty na wędkach, wchodzi do więcierzy i wyjada złowione w zastawionych sięciach ryby.

W Chinach krab wełnistoręki jest w ogromnych ilościach spożywany, w Europie — w Niemczech, w tym kierunku robione próby, dały bardzo dobre wyniki, jest on podobno smaczną potrawą. Obecnie zaczęto użytkować tego skorupiaka do wyrobów przemysłowych, mianowicie do wyrobu mączki nawozowej.

J. M. L.

ECHA TYGODNIA.



AUSTRJA NA WULKANIE. Kanclerz Dollfuss prowadzi obecnei walkę na trzy fronty, a mianowicie z hitlerowcami, socjalistami i żydami. Opiera on się na sferach drobnomieszczańskich, chłopach, arystokracji i duchowieństwie, rządząc po dyktatorsku, bez parlamentu. Wyrazem tej wojowniczej polityki kanclerza Dollfussa była mowa, jaką wygłosił on w Tulln (na zdjęciu), rzucając szereg ciężkich oskarżeń pod adresem socjalistów.



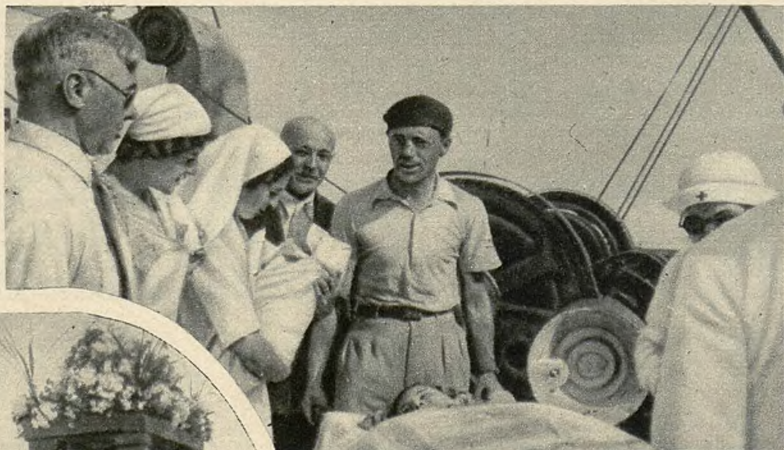
W TROSCE O SKRZYDŁA. Grono nauczycielskie Państw. Seminarjum Nauczycielskiego w Tucholi podjęło inicjatywę budowy szybowca rękami uczniów Seminarjum. Próba ta doskonale się udała. Na zdjęciu szybowiec w otoczeniu profesorów i uczniów.



ROZMOWY POLSKO - NIEMIECKIE. Polska przystąpiła do bezpośrednich rokowań z Niemcami w celu uregulowania szeregu spraw politycznych i gospodarczych. Pełnomocnikiem naszym jest poseł Lipski (na zdjęciu). Życzyć sobie należy, aby rokowania te zakończyły się szczęśliwie — stwarzając nowe podstawy pod współżycie dwóch narodów, sąsiadujących ze sobą o miedzę.



DWA OLBRZYMY PODAJĄ SOBIE RĘCE. Stany Zjedn. A. P. uznały oficjalnie Sowiety. Jest to wielki sukces polityki Litwinowa (na zdjęciu), który prowadził rokowania z prezydentem Rooseveltem.



BOCIAN NA „POLONJI". Na statku „Polonja", zdążającym do Palestyny, urodził się maleńki pasażer, który otrzymał imię Meier Polonia. Nowemu temu pasażerowi pozwolono bez biletu dokończyć podróży, poczem wśród owacyj publiczności — wylądował on w Hajfie.

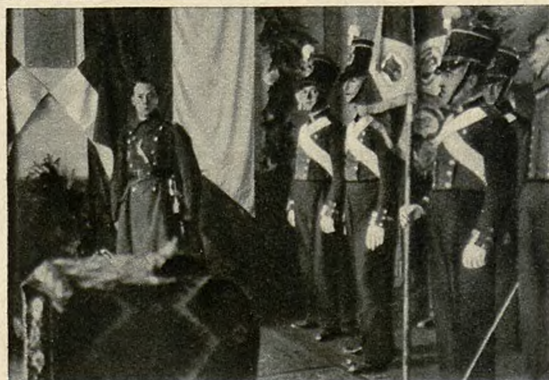


ŻAŁOBA NA KREMLU. W Moskwie z wielką paradą odbył się pogrzeb niedawno zmarłego Japończyka Sen Katayama, członka prezydjum egzekutywy międzynarodowej partji komunistycznej„ jednego z przywódców japońskiej partji komunistycznej. — Na zdjęciu grono dygnitarzy sowieckich ze Stalinem na czele, niosące urnę z prochami Sen Katayamy.



W SŁUŻBIE OJCZYZNY. Stowarzyszenie Weteranów w Bielsku, najstarszy związek b. wojskowych na Śląsku cieszyńskim, obchodził jubileusz 55-lecia, oraz 80-tą rocznicę urodzin swego członka Jana Dudy. Na zdjęciu siedzą od lewej: prezes honorowy Roth, jubilat Duda i Warmus. Stoją: Oberschläger, König i prezes Misiąg.

PER ASPERA AD ASTRA. Kasa Oszczędności m. Krakowa pragnąc przyjść z pomocą młodzieży, studjującej grafikę w szkole Przemysłu artystycznego, urządziła konkurs dla uczniów profesora Uziembły na kalendarz i najlepsze prace nagrodziła książeczkami Kasy. Na zdjęciu uczestnicy konkursu i członkowie jury z dyr. Dorawskim, Bogdanim, sen. Rolle, radcą Muczkowskim, dyr. Lankauem i prof. Uziembłą.



WIEŚCI Z RĄDOMIA. W ramach uroczystości 15-lecia niepodległości R. P. została odsłonięta tablica pamiątkowa z wizerunkiem Marsz. Piłsudskiego w świetlicy 72-go p. piechoty. Na zdjęciu dowódca 72-go p. p. płk. dypl. Karwiński z żołnierzami w historycznych mundurach w momencie odsłonięcia tablicy.



ŚMIERĆ MILJARDERA. Syn znanego miljardera Vanderbilta (na zdjęciu) zginął w katastrofie samochodowej w St. Zjedn. A. P., jako jeszcze jedna ofiara demonu szybkości.

600-LECIE MIASTA PABJANIC.

Pabjanice pod Łodzią obchodziły w tych dniach 600-lecie swego istnienia.

Pabjanice w najdawniejszych kronikach znane były jako kasztelanja Chropy. Należały one do panujących w Polsce książąt. W r. 1086 Władysław Herman celem ubłagania od Boga dla żony swej Judyty potomka męskiego, ofiarował kasztelanję Chropy Kapitule krakowskiej. Bóg pobłogosławił hojnemu królowi, dając mu syna, Bolesława, zwanego Krzywoustym.

Zczasem kasztelanja Pabjanicka rozrosła się znacznie i obejmowała dwa miasta, Pabjanice i Rzgów, oraz kilkadziesiąt wsi, folwarków, młynów i hut. Prawa miejskie Pabjanicom nadał Władysław Łokietek.

Dobrami „państwa pabjańskiego" zarządzali zazwyczaj tenutarjusze, rekrutujący się przeważnie z pośród kanoników krakowskich. Dla nich to Kapituła w roku 1565 wzniosła piękny zamek w stylu renesansu krakowskiego, po dziś dzień zachowany i będący największą ozdobą miasta. Rozwijające się pięknie w XVI w. miasto zaczęło upadać w wieku XVII i XVIII, a to naskutek częstych pożarów, zarazy morowej i dokuczliwych przemarszów wojsk szwedzkich, pruskich, a nawet polskich.

W początkach wieku XIX poczyna się w Pabjanicach ujawniać szybki rozwój przemysłu włókienniczego. Dzięki poparciu władz Królestwa Polskiego osiedlają się tu liczni przybysze z Saksonji i Prus, którzy dlatego, że posiadali warsztaty tkackie i fabrykowali przeważnie sukno, nazwani zostali fabrykantami.

Wprowadzenie w roku 1850 pierwszej parowej maszyny zmienia zasadniczo charakter fabrykacji.

Dziś Pabjanice liczą 49 tys. mieszkańców, których większość stanowią robotnicy, zatrudnieni w przemyśle włókienniczym i bawełnianym.

P. T. K.



Zamek kapituły krakowskiej w Pabjanicach, wzniesiony w r. 1565, obecnie siedziba Magistratu miasta Pabjanic.
Fot. Fr. Marszał.



Kościół św. Mateusza, wystawiony przez kapitułę krakowską w XVI-ym w. Obok kościoła pomnik Niepodległości.
Fot. Fr. Marszał.



Ogólny widok m. Pabjanic. Na horyzoncie widoczne są wieże nowego kościoła N. M. P. (Ze zbiorów P. T. K., Pabjanice).

MIGAWKI WARSZAWSKIE.

OSTATNI POSŁAŃCY.



Posłaniec warszawski na posterunku.

Któż z nas, mieszkańców Warszawy, nie zna charakterystycznej sylwetki posłańca. Zgarbiony staruszek z nieodłącznym kijem sękatym w ręku i z małą torebką skórzaną na listy przy pasie. Z pod barwnej, jasno-czerwonej czapki wyglądają resztki siwych włosów.

Na rogach główniejszych ulic, przy większych kawiarniach i hotelach ustawiają swe małe ławeczki, sklecone własnym przemysłem z trzech deseczek, siadają na nich po dwóch, trzech, a najczęściej na samotniaka i zaczynają swą codzienną zadumę. Znajoma kuma z sąsiedniej budki z gazetami pożyczy może jakiś wczorajszy Ekspres, inwalida z pobliskiego kiosku poczęstuje może papierosem.

Nie trudno nawiązać z nimi rozmowę:

— Znam pana tyle lat — odzywam się. — Zawsze pan siedzi na tym samym rogu.

— Ooo... to znamy się obydwaj — uśmiecha się dobrotliwie staruszek.

— Jakże to? — pytam zaciekawiony.

— No cóż. Zaczynam tu swą pracę zawsze o ósmej rano. A o ósmej i pan tu staje zawsze na tym samym przystanku i czeka na tramwaj.

— A no, rzeczywiście.

— Ale pan tu chodzi dopiero trzeci rok. A ja... ho, ho... dwudziesty piąty.

— Dwadzieścia pięć lat! To pan pamięta dawne czasy — ciągnę swe pytania.

— O tak. Były lepsze czasy, dobre czasy. Było nas posłańców w Warszawie przeszło tysiąc i więcej. Teraz już niewielu. Pewno i trzydziestu nie ma. Starczyło dawniej dla wszystkich zarobku, ale w tych czasach...

— Ileż pan teraz zarabia?

— A jak się zdarzy, panie. Będzie i 30 złotych na miesiąc i dwadzieścia osiem. Jak pójdzie dobrze i 35.

— I z tego pan żyje?

— Ano tak. I staruchę jeszcze mam. Ciężko nam, ale cóż robić.

— Może przyjdą kiedyś lepsze czasy — pocieszam bez wiary w sobie, staruszka. — A czemuż to, powiada pan ,dawniej lepiej było?

— Ano, panie, cóż teraz. Dobrze, jak raz dziennie gdzie pójdę. Ale bywa tak, że i dwa dni nie mam ani jednej przesyłki, A za przesyłkę dostaje się złotówkę, albo i 50 groszy. Dawniej to się chodziło i chodziło. Ho, ho! Jak przyszło świętej Zofji, Marji, Jadwigi, to cały dzień szły kwiaty i kwiaty. Albo karnawał. Inaczej bywało dawnemi laty... Mieszkały tu naprzeciw trzy siostry. Dnia nie było, abym nie niósł czegoś od nich. Zawsze był różowy, pachnący bilecik. Obkładały go czystym papierem, aby mi się po drodze nie zabrudził w torbie. Ale teraz nie kochają się młodzi...

— Kochają się jak dawniej — uśmiecham się. — Ale teraz telefonują.

— A tak... Telefonują. I nie posyłają kwiatów. Już my niepotrzebni.

Urwał stary posłaniec rozmowę. W głosie jego zadrgała cicha, może bezwiedna nuta żalu. Wyrzutu do świata za to, iż dzień po dniu systematycznie dziesiątkuje ich szeregi, iż skazał ich nieuchronnie na zagładę, iż wybudował telefon i założył po całem mieście kilkadziesiąt urzędów pocztowych, a odległe dzielnice połączył tramwajem. Wyrzutu do świata za ów bezwzględny wyrok, jaki brzmi w słowie:

...ostatni.

A mnie przed oczami stanął na chwilę inny świat. Świat bez brzęczącego wiecznie telefonu, bez obrzydliwego, huczącego tramwaju. Świat, w którym stary posłaniec niósł różowy pachnący bilecik i wiązankę kwiatów...

Roman Burzyński.

„Królowa Nocy" umarła!



Królowa nocy w jednym ze znanych lokali nowojorskich.

„Królowa nocy" — tak nazywa się w poetycznej przenośni — kwiat Victoria Regia, który rozkwita w cieplarniach ogrodów botanicznych i kwitnie tylko przez jedną noc. Nie chodzi nam jednak tutaj o ową pyszną „Victorję Regję", kwiat jednej nocy, ale o inny osobliwy kwiat, nietyle cieplarniany, o ile swoistego bagna amerykańskiego. Oto pisma doniosły, że w Nowym Jorku zmarła pani Texas Guinan, jedna z najsławniejszych osób Ameryki, która przez szereg lat dzierżyła prym w nowojorskiem życiu nocnem i była właścicielką szeregu mniej lub więcej podejrzanych lokali.

Osoba ta, nie pierwszej już, a może i nie drugiej młodości, znana była wszystkim mieszkańcom Nowego Jorku, a wybierała się po laury również do Europy, organizując przed paru laty wyprawę do Paryża. Przybywszy jednak do Hawru, natknęła się na grzecznych, ale stanowczych urzędników francuskich, którzy orzekli, że chętnie wpuszczą królowę nocy, ale nie mogą wpuścić jej szesnastu girlsów, które pod mianem „zwarjowane bachory" (crazy kids), podróżowały z nowojorską megerą.

Klijenci królowej nocy nie byli bynajmniej pierwszymi lepszymi. Lokale jej roiły się od książąt krwi, najwyższej arystokracji, przedstawicieli wielkiego przemysłu, dyplomacji itd. Wszyscy ci panowie we frakach i cylindrach, o śnieżnych gorsach i rękawiczkach glace, odwiedzali jasno oświetlone lokale królowej nocy, aby zakosztować rozkoszy pokątnego pijaństwa i zupełnie jawnej miłości. Wszystkich tych wytwornych panów, nie zważających na swe godności i ordery, witała wesoła pani Texas Guinan historycznym już dziś wykrzyknikiem: „Hullo, sucker", co w żargonie amerykańskim oznacza: „Hallo, jak się masz, ssaku". Ze wszystkiemi osobistościami pani Texas Guinan była na „ty", traktowała ich po koleżeńsku, klepiąc ich po ramionach i całując się z nimi z dubeltówki. Przyjaciele pani Texas byli ciężko ładowani pieniądzmi i pozostawiali jej wspomnienia najmilsze dla kobiety, t. zn. kolje djamentowe, naszyjniki i inne drobiazgi o dużej wartości. To też królowa nocy mogła maskować umiejetnie swój podwójny podbródek i swoje zmarszczki połyskiem klejnotów.

Wesoła damulka Nowego Jorku nie oparła się jednakowoż atakowi choroby i po nieudałej operacji śmierć zajrzała jej w oczy. Pani Texas Guinan była jednak konsekwentną i uważała, że nawet w krytycznej godzinie żywota należy zachować wesołość. To też w ostatniej woli zastrzegła wyraźnie, by na jej pogrzebie grano wesołe kompozycje jazzbandowe, a samochód z trumną toczył się szybko wśród okrzyków pijanej młodzieży obojga płci. Bachantka nowojorska chciała stylowo zejść do grobu.

W ostatnią niedzielę miał Nowy Jork olbrzymią manifestację, jakiej nie pamiętał od sierpnia 1926, kiedy w t. zw. złotym pokoju wystawiano na widok publiczny zwłoki idealnego kochanka, bożyszcza kobiet, Rudolfa Valentino, który pomimo swojej, zlekka parobkowskiej urody, budził tęskne spojrzenia kobiet. W tym samym pokoju wystawiono obecnie katafalk ze zwłokami „królowej nocy", która spoczęła w paradnej trumnie, ubrana w suknię wieczorową z crepe chiffon, ustrojoną w srebrne cekiny. Włosy jej były nienagannie ondulowane, paznokcie wymanicurowane, w jednej ręce trzymała różaniec, a na obu rękach lśniły się djamenty branzolet. Najparadniejsza djamentowa kolja zdobiła zwiędłą szyję nowojorskiej sławy.

Cały Nowy Jork wyległ w ten dzień, aby obejrzeć królowę nocy, przyczem biedota uliczna ujrzała nareszcie na własne oczy tę sławną osobistość, do której oblicza dopuszczani byli tylko wytworni tego świata. Sensacja nowojorska była zaspokojona, reporterzy trzaskali zdjęcia na lewo i na prawo, a królowa nocy leżała wśród róż i chryzantem.

Ten paradny zgon i królewskie niemal ceregiele odprawiane z właścicielką dosyć niewyraźnych lokali, są wymowną charakterystyką stosunków amerykańskich. Purytański nazewnątrz kraj lubuje się we wszelkim skandalu, a osobistość sławnego bandyty, czy sławnej megery, przedstawia więcej walorów, aniżeli postać męża stanu, czy wielkiego uczonego. Ceremonje robione z Al Caponem, fantastyczne pogrzeby rzezimieszków z pod najciemniejszej gwiazdy, których podziurowione kulami ciała kładzie się do kilku kosztownych trumien, kosztujących dziesiątki tysięcy dolarów, skandaliczne procesy rozwodowe, rozmazujące pikantne szczegóły cudzołóstwa i romansów, szopki rozwodowe i zamiany żon na wzór Hollywoodu, komedje rozwodów w mieście Reno, naciąganie mężczyzn na płacenie alimentów — oto część tej ponurej listy moralności amerykańskiej, która działa odpychająco na Europę.

A jednak w tej postaci królowej nocy, która w Europie byłaby nie do pomyślenia, skoro nie posiadała żadnych walorów artystki, jest również typowo amerykański rys optymizmu i sił żywotnych. Ta skołatana kobieta, która wyrosła z dna społecznego i wybiła się na czoło świata towarzyskiego — kpi sobie ze śmierci i pragnie umierać w rytmie jazz-bandu. Oto typowy przykład amerykańskiego optymizmu i pogardy dla smutku — odsłaniający równocześnie naiwność natur, które nie kłopoczą się o sprawy metafizyki.

Texas Guinan, to dziwny coctail z deprawacji i zepsucia, oraz amerykańskiego optymizmu. Europa nie potrafi zrozumieć nigdy może tego objawu, podczas gdy dla Ameryki jest ona bohaterką i przedstawicielką wiary w pieniądz i możności wydobycia się z dna ku szczytom, jest reprezentantką niespożytego wigoru swojej rasy, która zamiast grać „marsz żałobny", podśpiewuje sobie wesoło modną piosenkę. Niewiadomo tylko, czy kryzys, który przyciska coraz bardziej śrubę, nie obniży barometru wesołości amerykańskiej...

CO WAM ZOSTAŁO Z TYCH LAT...

W tych dniach mija piętnaście lat od wybuchu t. zw. „rewolucji“ i od proklamowania przez Scheidemanna t. zw. „republiki“ niemieckiej. — Dnia 9 listopada 1918 roku o szarym świcie Wilhelm II uciekł z głównej kwatery w Spaa za pobliską granicę holenderską. Oficjalnie było to tłumaczone chęcią ułatwienia rokowań pokojowych i złagodzenia warunków, które mieli postawić zwycięzcy. Ale cel ten osiągnął Wlhelm w zupełności przez podpisanie dnia poprzedniego aktu abdykacyjnego w imieniu swojem i swego syna Fryderyka i to zarówno z niemieckiego tronu cesarskiego, jak pruskiego tronu królewskiego. Politycznie zatem ucieczka potrzebną nie była. Tem potrzebniejszą była ona Wilhelmowi osobiście, ponieważ srodze bał się wracać do swoich wiernych poddanych.

Ale minęło zaledwie kilka tygodni, a Wilhelm II mógł się przekonać, że się niepotrzebnie przestraszył. Rewolucja bowiem niemiecka nie była żadną rewolucją, ale tylko chaosem politycznym, wywołanym nagłem uświadomieniem sobie przez masy niemieckie, że wojna, którą przez cztery lata z rzędu stale wygrywały, w ostatnim tygodniu została ostatecznie i nieodwołalnie... przegrana.

W tym chaosie władzę objęli socjaliści. Porzucona dosłownie na ulicy przyszła ona do nich biedaczka sama. A oni ją tylko przyhołubili litościwie wprawdzie, ale bez przekonania. Socjaliści bowiem niemieccy w ogromnej swojej większości dawno już przedtem utracili wszelki *patos i całą romantykę rewolucyjności i urządzili się na długie, wygodne i zaciszne życie pod czarnemi skrzydłami orłów cesarskich.* Nagłe połamanie i opadnięcie tych skrzydeł było im bardzo nie do smaku.

Gdy z okna „Schlossu“ cesarskiego w Berlinie Scheidemannowi wypadło proklamować powstanie republiki niemieckiej, strach wybielił mu twarz a łzy dławiły głos w gardle. Ten skromny ongiś zecer i wódz proletarjatu niemieckiego z największym tylko trudem odłączał się od starego feudalizmu pruskiego. Tak samo miały się rzeczy z Ebertem, Braunem, Noskem i setką innych przywódców socjalistycznych.

Leżącą na ulicy władzę podnieśli oni, nie dlatego, że chcieli, ale dlatego, że musieli. A tymczasem wszelka władza jeszcze bardziej niż bogactwo nie trzyma się nigdy tego, kto jej nie zdobył i nie walczył ciężko i ofiarnie, ale tylko wygrał na jakiejś wielkiej loterji kapryśnego losu.

Ten tylko umie utrzymać w ręku władzę, kto ją umiał zdobyć. Kto dostał ją, niewiadomo, jak i dlaczego, ten prędzej czy później straci ją także — niewiadomo, jak i dlaczego.

I tak właśnie stało się z władzą socjalizmu niemieckiego. Nie pragnąc tej władzy zdobyć, socjalizm niemiecki nie potrafił jej także użyć, kiedy ona sama legła mu w rękach. Skończyło się na tem, że socjalizm, władzą tą obarczony, wziął od niej tylko same ciernie, a kwiatom pozwolił bezużytecznie rozprószyć się na wietrze dziejowym. Jako główny czynnik rządzący socjalizm wykonał tylko szereg prac koniecznych wprawdzie, ale dla patrjotyzmu niemieckiego bardzo mało ponętnych. Podpisał on przedewszystkiem kapitulację w rozejmie, a w niespełna ośm miesięcy potem traktat pokojowy, przeciw któremu buntowały się serca niemieckie.

Same w sobie były to akty rozumne, bo w danych warunkach konieczne. Ale socjalizm nie umiał użyć posiadanej przez siebie władzy, aby zabezpieczyć się także przed skutkami tej straszliwej niepopularności, jaką wykonanie tych aktów musiało ściągnąć na głównych wykonawców.

Nie mając wiary we własne siły twórcze, socjalizm niemiecki tem żarliwiej wierzył w twórczą siłę pustych formułek, których komplet nazywa się „demokracją parlamentarną“. Gdy w lipcu 1932 roku świeżo mianowany kanclerzem sprężysty rotmistrz von Papen posłał oficera Reichswehry z trzema żołnierzami, aby wyrzucili z biur prezydenta i członków gabinetu pruskiego, socjaliści zamiast odpowiedzieć na ten zamach rzuceniem swoich mas na ulice, a w danym razie na barykady, zaskarżyli go do trybunału konstytucyjnego w Lipsku, a nawet częściowo wygrali ten dziwny proces o władzę. Mianowicie zwrócono socjalistycznym ministrom prawo przebywania w ich gabinetach urzędowych i pobierania pensji, ale nie przywrócono im władzy. I socjaliści nie tylko zadowolnili się tym wyrokiem, ale jeszcze szczycili się nim jako swem „zwycięstwem“.

Gdy zaś na dwa tygodnie przed objęciem władzy przez Hitlera ówczesny kanclerz i „generał socjalny“ w jednej osobie — von Schleicher zwrócił się do prezesa federacji wszystkich socjalistycznych związków zawodowych Leiparta z wezwaniem, aby socjaliści proklamowali celem odparcia Hitlera strajk generalny, a on z „Reichswehrą“ zachowa neutralność, to Leipart odpowiedział na to pytaniem: „Co powie na to prezydent trybunału konstytucyjnego Bumke?“ — W kilka tygodni potem Hitler znosząc całą konstytucję Weimarską i przewracając Niemcy do góry dnem, nie troszczył się o zdanie pana prezydenta Bumkego. Dlatego dzisiaj rządzi Hitler a wczorajsi władcy socjalistyczni już to za drutami obozów koncentracyjnych wykonują na komendę odpowiednio dobranych pałkarzy hitlerowskich różne ćwiczenia gimnastyczne, już to poza granicami swej wczorajszej ojczyzny upajają się haszyszami wszystkich emigracyj politycznych. Nikt się nawet nad nimi nie lituje...

Utrata władzy bowiem jest jedynem nieszczęściem, którego moralność ludzka nie obejmuje obowiązkiem współczucia i litości.

Ludzka masa władzy potrzebuje. Ona tęskni nawet do niej nieraz, gdy jej zabraknie. Ale dobrowolnie władzy tej nad sobą masa ta nie daje nigdy. Ona przyznaje ją tylko temu, kto umiał ją wziąć i utrzymać w swem ręku. Nawet najlepiej ujeżdżony i najłagodniejszy koń nie spłoszy się i nie zasmuci w swem końskiem sercu, gdy furmanowi z rąk wypadną — lejce i bat.

Taka już jest natura końska i... ludzka.

Pom.



Tłumy demonstrują na rzecz pokoju i republiki, w listopadzie 1918 r. w Berlinie.



Karol Liebknecht przemawia do tłumu (listopad 1918).



Uzbrojony oddział robotników maszeruje na Plac Zamkowy (listopad 1918).



Bojowcy za barykadami z makulatury (listopad 1918).

Zdjęcia R. Sennecke.



Ciężka artylerja sowiecka.



WOJNA JAPOŃSKO-SOWIECKA?

Członkowie sowieckiej rady wojennej. Trzeci od lewej Tuchaczewki, który w 1920 r. kierował marszem na Warszawę

Przysłowiowej „łuny wojennej" nad Dalekim Wschodem jeszcze wprawdzie nie widać, ale dymy ścielą się nad nim coraz cięższe. Widać je wyraźnie na obu półkulach tego milutkiego naszego światka, na którym zabawiamy się wszyscy wesoło, jak grzecznym dziatkom przystało. Ino patrzeć, jak z pod kłębów owego dymu buchną czerwone płomienie...

Japonja z wielkim hałasem i rozmachem ostrzy swoje miecze samurajskie. Rosja sowiecka sposobi swój ciężki i niezgrabny, ale w uderzeniu także nie bezskuteczny topór. Dwaj ci sąsiedzi coraz mocniej biorą się ze sobą za bary. Wojska japońskie, które już szły do Pekinu, zostały w ostatnich dniach zawrócone na północ nad Amur. Rosja sowiecka, która od lat utrzymuje na Dalekim Wschodzie osobną potężną armję pod wodzą równie głośnego, jak tajemniczego generała Blüchera, zwanego „generałem-czarną maską" teraz właśnie przerzuciła tam jeszcze dodatkowo kilka nowych dywizyj z frontu białoruskiego, a nadto posłała tam pospiesznie nową silną eskadrę najlepszych swoich i najmocniejszych maszyn do latania i bombardowania.

Równocześnie obie strony zgodnie z Homerem, który każe swoim bohaterom zawsze pokłócić się siarczyście, zanim zaczną przykładać do siebie pięści, obrzuciły się równie gorzkiemi jak ostremi wymówkami. Prezes Rady komisarzy ludowych — Mołotow mówił niedawno wiele i twardo o różnych niemądrych planach japońskich. Z Tokjo zaś odpowiedziano w te pędy, że to Rosja mąci święty spokój, który panuje w Mandżurji i wogóle na Dalekim Wschodzie.

O co idzie? — zapyta czytelnik. No, idzie o bagatelę, o panowanie nad wschodnią Azją, przedewszystkiem zaś nad skłóconemi i bezsilnemi, ale mogącemi spożyć moc przeróżnych towarów Chinami. Japonja chce owładnąć tym rynkiem, który jest coraz bardziej nieodzownym dla jej ogromnego, na niesłychanym wyzysku socjalnym opartego przemysłu. Kwalifikowany robotnik japoński pracuje za cenę jakichś dziesięciu naszych groszy polskich za godzinę. Niekwalifikowany odpowiednio taniej. Towary, któremi Japonja coraz bardziej zalewa Azję i Afrykę, a nawet wciska się do Europy, na najdalszych rynkach światowych sprzedawane są taniej, niż wynoszą same koszta produkcji takich towarów w Ameryce, Anglji, w Niemczech i gdzieindziej.

Gdy taki producent jak Japonja raz zawładnie Chinami, nikt go już stamtąd nie wykurzy. Boi się tego przedewszystkiem Ameryka, która nie może myśleć o odbudowie swojej niedawnej pomyślności gospodarczej bez zdobycia jakiegoś wielkiego rynku zewnętrznego. Takim zaś rynkiem wolnym, bo jeszcze własnego przemysłu pozbawionym, są dzisiaj tylko Chiny. Dlatego to między Stanami Zjednoczonymi a Japonją szykuje się wielka rozgrywka o panowanie nad Pacyfikiem, przedewszystkiem zaś o rynek chiński. Wszystko to dobrze, ale skąd przy tem Rosja sowiecka? Otóż Rosja sąsiaduje z Chinami na przestrzeni dziewięciu tysięcy kilometrów wspólnej granicy. Rosja wprawdzie nie kompetuje dzisiaj o zdobycie rynku chińskiego dla siebie, ale niemniej chce Chiny zachować wolne i swobodne na przyszłość i dlatego uważałaby usadowienie się Japonji w Chinach za zmianę bardzo niekorzystną i niebezpieczną. Dlatego Rosja jest jakgdyby przez naturę stworzona na sojuszniczkę Stanów Zjednoczonych w ich oczekiwanem starciu z Japonją.

Do tej pory Stany Zjednoczone nie uznawały rządu sowieckiego, bo potępiały niektóre jego metody, jakie stosuje wobec ludzi, przedewszystkiem zaś wobec ich majątków. Ale teraz właśnie prezydent Roosevelt poniechał tych próżnych dąsów i zaprosił Litwinowa do Waszyngtonu na naradę, jak urządzić przyszłe rosyjsko-amerykańskie stosunki najkorzystniej i najprzyjaźniej.

Widząc taki nagły zwrot sprawy, Japonja musi spieszyć się, aby zrobić swoje, zanim sojusz rosyjsko-amerykański przyjdzie do skutku i zacznie działać w taki np. sposób, że część potężnej floty amerykańskiej zawita na dłuższy pobyt do Władywostoku. Aby temu zapobiec, Japonja chce sama zabrać Władywostok, aby w nim pełnić funkcje gościnnej gospodyni.

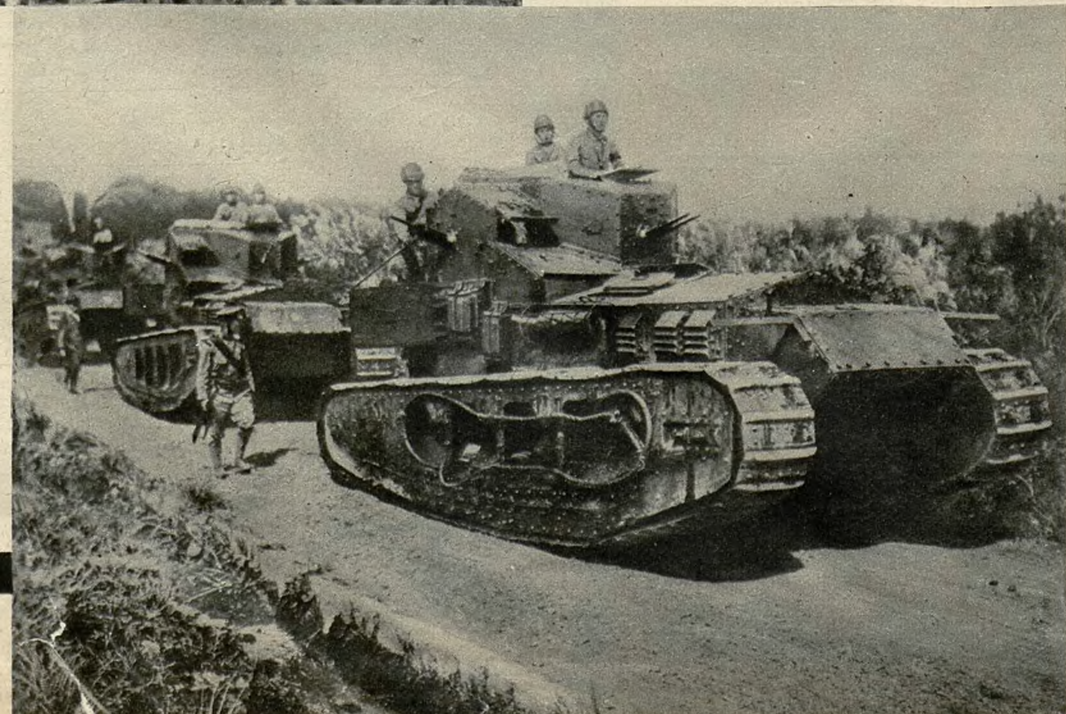
Japonja z pewnością nie potrzebuje bardzo lasów i gór wschodniej Syberji razem z jej mrozami. Ale za to tembardziej potrzebuje ona tego, aby Rosja nie mogła nigdy w przyszłości okazać się silną i skuteczną sojuszniczką Ameryki. Na to zaś najlepszym i jedynie pewnym sposobem jest zawczasu odepchnąć Rosję od brzegów Pacyfiku, tak, aby w chwili decydującej pozostać na nim sam na sam ze Stanami Zjednoczonemi.

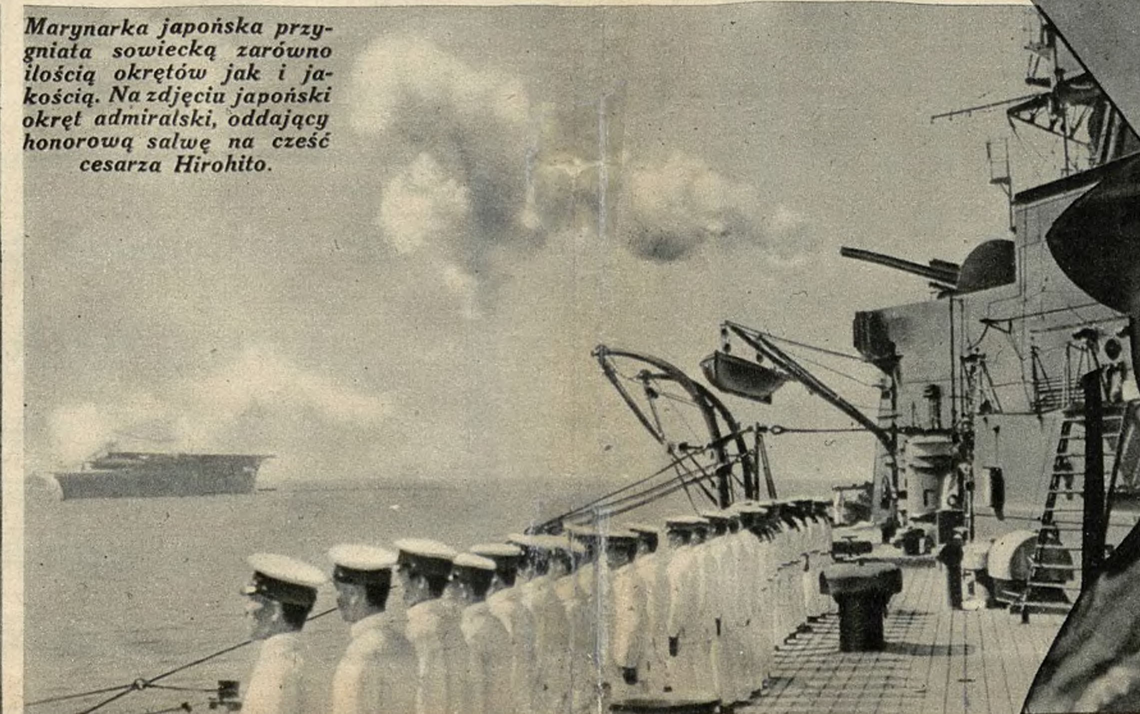
Na takiem to tle zaostrza się coraz bardziej antagonizm rosyjsko-japoński. Gdyby nie rozpoczynająca się zima, możnaby już teraz całkiem poważnie liczyć się z wybuchem całkiem prawdziwej wojny na Dalekim Wschodzie. Narazie jednak jest nadzieja, że wschodnio-syberyjskie mrozy ochłodzą zapały wojenne przynajmniej do najbliższej wiosny...

Artylerja japońska w akcji bojowej.

Dziesiątki tysięcy piechoty sowieckiej, defilującej w Moskwie w dniu święta rewolucji październikowej.

Na prawo: Armja japońska rozporządza ogromną ilością tanków i broni pancernej.





Marynarka japońska przygniata sowiecką zarówno ilością okrętów jak i jakością. Na zdjęciu japoński okręt admiralski, oddający honorową salwę na cześć cesarza Hirohito.



Sowieckie robotnicze przysposobienie wojskowe.

• SALON CUDÓW •

MARY MAYER.

„Kiedy jestem nieumalowana, zdaje mi się, że jestem naga..." — takie zdanie wypowiedział Pitigrilli. — Kobieta nowoczesna i pojęcie malowania zrosły się już tak bardzo, iż rzeczywiście wydaje się, że jedno bez drugiego istnieć nie może. Przyznać trzeba, że kobieta „zrobiona" sprawia na mężczyźnie o wiele korzystniejsze wrażenie, aniżeli kobieta, która do spraw retuszu twarzy, do różnych „podkładów", ołówków, pudrów i t. d. nie przywiązuje wagi.

Dążność do poprawiania natury zrodziła nową gałąź wiedzy, którą potrosze zaliczyć można do medycyny, potrosze do chemji. — Ta nowa *wiedza kosmetyczna* ma dziś cały szereg wybitnych przedstawicieli i przedstawicielek. Liczne instytuty piękności, gabinety kosmetyczne pracują ustawicznie nad ulepszeniem środków, któreby zapewniły nowoczesnej kobiecie wieczną młodość.

Mary Mayer!

To nazwisko znane jest dziś w całej wytwornej Warszawie. Przy Al. Szucha 4 na pierwszem piętrze znajduje się jedyny w swoim rodzaju na tak wielką skalę zakrojony i tak ultra-moderne urządzony gabinet, gdzie pracuje Mary Mayer.

Pierwsze pytanie, jakie nasuwa się laikowi, w dodatku mężczyźnie, kiedy ogląda te wszystkie urządzenia, aparaty, baterje słoików, butelek, preparatów, kiedy patrzy na schematyczne wykresy, lub na nowoczesne laleczki, maseczki etc. — pierwsze *pytanie, to kwestja*, czy przy pomocy tego wszystkiego *z brzydkiej kobiety* można *zrobić piękną*.

Okazuje się, że nie!

— Byłoby to nieuczciwie, utrzymywać coś podobnego — twierdzi p. Mayer. Zresztą, co kto nazywa pięknem? Jeżeli chodzi o pojęcie piękna, jako takiego, składa się na to szereg czynników, niezależnych od człowieka, jak kwestja budowy, kwestja pewnych przyrodzonych czynników, które stanowią o tem, że tego czy innego człowieka nazywamy pięknym. Myśląc natomiast o pięknie w naszem kosmetycznem, że się tak wyrażę, pojęciu, mam na myśli estetykę, wygląd estetyczny. — Otóż na pytanie, czy z brzydkiej kobiety mogę zrobić piękność, odpowiem: *nie!*, natomiast śmiało odpowiem *tak*, gdy pan zapyta, czy z brzydkiej osoby mogę zrobić osobę estetyczną.

P. Mary Mayer oprowadza mnie dalej po swoim instytucie. Zwiedzamy gabinet prywatny, utrzymany w blado-zielonym tonie, przechodzimy do drugiego, jeszcze bardziej prywatnego apartamentu, w kolorze fraise. — Kancelarja, gdzie p. Mary Mayer bodaj najczęściej przebywa, utrzymana jest, podobnie jak crepe de chine'owy fartuszek p. Mary, w kolorze banana. Ten sam kolor widzimy w sąsiadującej z kancelarją sali wykładowej. Trzeba bowiem wiedzieć, że w Instytucie mieści się również szkoła kosmetyczna. Sala do ćwiczeń praktycznych jest w bardziej znanym, bo szarym kolorze. Wszystkie słuchaczki ubrane są jednakowo we fartuszki tego samego koloru banana, który stanowi oryginalne połączenie z szaro-stalową barwą sali ćwiczeń. Na głowach wszystkie panie noszą białe czapeczki, których krój przypomina nakrycia głów sanitarjuszek...

P. Mary Mayer zapoznaje nas w obszernym fachowym wykładzie, wypowiedzianym z werwą, ze swoim systemem kosmetycznym. Dowiadujemy się szeregu ciekawych nowin z dziedziny kosmetyki, dermatologji i t. d., zbyt fachowych jednak, by w wąskich ramach tego feljetonu móc je odpowiednio rozwinąć i podać.

Ciekawy jest jeden szczegół, mianowicie, jak odnoszą się naogół panie do Instytutu Piękności.

Jakkolwiek wiedza kosmetyczna jest dość rozpowszechniona, i każdy wie, że niekoniecznie trzeba być bardzo podeszłą w latach, żeby korzystać z dobrodziejstw kosmetyki, większość kobiet, korzysta z niej, jak z owocu zakazanego. Robią to pokryjomu przed mężem, niechętnie afiszują się z nazwiskiem, słowem wolałyby ukryć fakt, że uroda ich jest poprawiana w „Institut de Beauté". Gdy przychodzą do atelier, są jakgdyby zażenowane, rozglądają się z pewnym niepokojem, jakgdyby chcąc się ukryć przed jakiemś niewidzialnem okiem.

I jeszcze jeden ciekawy szczegół. Mary Mayer, która ma swój własny całkowicie odrębny system pracy, lansuje obecnie bardzo oryginalną rzecz. Maquillage dostosowany do całości tualety. Coraz więcej pięknych pań poddaje się operacji złocenia rzęs, barwienia paznokci, powiek i t. d.

Nie jest wykluczone, że w najbliższym karnawale tańczyć się będzie z panią o fioletowych paznokciach, złotych powiekach i t. p.

To wygląda bardzo oryginalnie, a co może być ważniejszego dla pięknej pani jak oryginalny wygląd?

(B. Si.)



Mary Mayer przed lustrem w swojem atelier.

Poniżej: W szkole kosmetycznej Mary Mayer.



Laleczka, służąca do cwiczeń kosmetycznych.





Gablotka z przyborami kosmetycznymi.

ECHA ODSIECZY WIEDEŃSKIEJ
W SZTUCE FLAMANDZKIEJ.



Emil Wauters; „Sobieski pod Wiedniem".

Bruksela w listopadzie.

Katolicka Belgja była z całą pewnością jedynym krajem na świecie, który rocznicę 250-lecia bitwy pod Wiedniem uczcił poza Austrją w tak uroczysty sposób. O ile nawet Austrja zrobiła z tego manifestację polityczną w związku z obecnemi wypadkami hitlerowskiemi, Belgowie oddali hołd pamięci tego wielkiego króla polskiego, kierując wszystkie akty dziękczynne pod naszym adresem. W całej prasie belgijskiej ukazały się artykuły wstępne, pisane przez najwybitniejszych mężów stanu, stojących tu na czele ugrupowań politycznych, ponadto prymas Belgji kardynał Van Roy, oraz premjer hr. de Broqueville skierowali do miejscowego Towarzystwa Przyjaciół Polski telegramy, w których podkreślali, jak wielkie znaczenie miało dla całego świata cywilizowanego zwycięstwo Sobieskiego pod Wiedniem, które doszczętnie zdruzgotało potęgę turecką, zmieniając jednocześnie bieg historji.

W związku z tem należy podkreślić, iż pomimo, że Belgja posiadała z naszym krajem wówczas bardzo luźny kontakt, to jednak znajdujemy tu bardzo dużo pamiątek, związanych ściśle z odsieczą wiedeńską i to pozwoliło nawet przed niedawnym czasem zorganizować w Antwerpji specjalną wystawę. Na pierwszy plan wybijał się tam obraz króla Jana Sobieskiego, namalowany przez nieznanego malarza flamandzkiego przeszło 200 lat temu. Obraz ten został podarowany obecnie przez Belgję Polsce.

Najpiękniejszą z całą pewnością pamiątką z tego okresu jest obraz jednego z najsłynniejszych malarzy belgijskich Emila Wautersa, przedstawiający Sobieskiego pod Wiedniem. Obraz ten o olbrzymich rozmiarach znajduje się w muzeum narodowem w Brukseli i został namalowany z okazji 200-lecia zwycięstwa Sobieskiego. *Hajot.*

„BARONOWA LENBACH" W TEATRZE MAŁYM W WARSZAWIE.



Marja Przybyłko-Potocka, jako baronowa Lenbach.

Dwie nowe wspaniałe kreacje: Marja Przybyłko-Potocka i Kazimierz Junosza-Stępowski w rolach baronowej i barona Lenbach. On b. oficer armji austrjackiej pijak, hulaka, karciarz, żyje jak pasożyt za pieniądze żony; ona zmuszona jest prowadzić magazyn mód, by móc żyć. Nienawidzi swego męża tak, że najwyższą radość sprawia jej myśl o jego śmierci. *Baron* bowiem nie uznaje *rozwodu*, gdyż od 300 lat nikt z Lenbachów nie dopuścił się *czegoś podobnego*. Żyją więc razem. Dla wymuszenia pieniędzy baron terroryzuje żonę samobójstwem. W momencie najwyższego napięcia nerwów z ust baronowej padają ironiczne słowa i przyśpieszają rozwiązanie akcji — baron dotrzymuje pierwszy raz słowa i odbiera sobie życie.

Koniec aktu pierwszego.

Akt drugi.

Uwolniona tak nieoczekiwanie baronowa nie znajduje, czego szukała. Adwokat-kochanek jest teraz zimny, obojętny, nie potrafi jej zrozumieć. Następuje załamanie. Samobójstwo baronowej poprzedza wstrząsająca spowiedź.

Teraz już niema poco żyć i niema dla kogo żyć.

Dwa akty niesłychanego napięcia. Tylko dwa akty, ale ileż w nich przeżyć, ile tragedji...

Kreacje Junoszy-Stępowskiego i Przybyłko-Potockiej — wspaniałe. Zwłaszcza Junosza stworzył postać niezapomnianą; jego baron Lenbach to jeszcze jedno potwierdzenie wielkiego talentu. Zdaje się, że choćby mu dać najmniejszą rolę, potrafiłby z niej zrobić arcydzieło. *(B. Si.)*



Junosza Stępowski w roli barona Lenbacha.

OTWARCIE PAŃSTWOWEJ IZBY KULTURY W NIEMCZECH.



Hitler ze swoim sztabem na otwarciu Izby Kultury. Obok Hitlera siedzą po lewej ministrowie Papen i Goering, a po prawej minister Goebbels.



Premjer Goering w rozmowie z Ryszardem Straussem, dyr. Izby muzyków.

W sali Filharmonji w Berlinie w obecności Hitlera i najwybitniejszych przedstawicieli świata artystycznego, naukowego i politycznego Rzeszy odbyło się uroczyste otwarcie Państwowej Izby Kultury.

Jest to instytucja, obejmująca następujące działy: muzyczny (przewodniczący dr. Ryszard Strauss), sztuk pięknych (dyrektor prof. Eugenjusz Hoenig), teatralny (prezydent Otto Laubinger), literacki (prezydent Hans Blunck), prasowy (prezydent Maks Amann), radjowy (prezydent Horst Dressler) i filmowy (prezydent dr. Fritz Scheuermann). Na czele Izby stoi dr. Goebbels, który wygłosił wielką mowę inauguracyjną, podkreślająo zadania sztuki Trzeciej Rzeszy. Zdaniem jego sztuka niemiecka wkracza obecnie w okres heroiczny, do którego impuls dały jej dumnie maszerujące szeregi brunatnych koszul, dokonywując rewolucji nietylko politycznej, ale zaprzęgając cały naród w służbę wyższych ideałów.

Dzięki Izbie Kultury sztuka niemiecka otrzymała swoje przedstawicielstwo korporacyjne, które niewątpliwie będzie nowym etapem w jej dotychczasowym rozwoju, a może i pierwowzorem dla wielu państw.

CIEKAWE WYKOPALISKA W NAJSTARSZEM MIEŚCIE ŚWIATA.

W Mezopotamji bawi ekspedycja amerykańska, wysłana przez uniwersytet w Pensylwanji, zajęta odkopywaniem miasta Tepe Gawra. Jak dotąd, z pod piasku pustyni odkopano doskonale zachowane mury i fortyfikacje tego grodu, uchodzącego za najstarszy na świecie i znaleziono mnóstwo przedmiotów bronzowych, świadczących o wysokiej kulturze mieszkańców tego tajemniczego kraju, który nauka współczesna uważa za kolebkę cywilizacji egipskiej i greckiej.

Kraj między Eufratem a Tygrysem zamieszkiwały w zamierzchłej przeszłości ludy pochodzenia uralsko-altajskiego, tzw. Sumeryjczycy i Akadyjczycy. Dokonali oni zdumiewających odkryć w dziedzinie astronomji. Od nich datuje się podział dnia na 24 godziny i liczenie na tuziny, kopy i t. d. Mieli pojęcie Boga jednoosobowego, a żydzi niejedno zapożyczali z ich wierzeń i mitów. Zczasem Sumeryjczycy i Akadyjczycy musieli ulec najazdowi wojowniczych semitów, którzy do Mezopotamji przywędrowali z Arabji. Asyryjczycy przyswoili sobie kulturę babilońską, ale sami do niej nic nowego nie wnieśli.

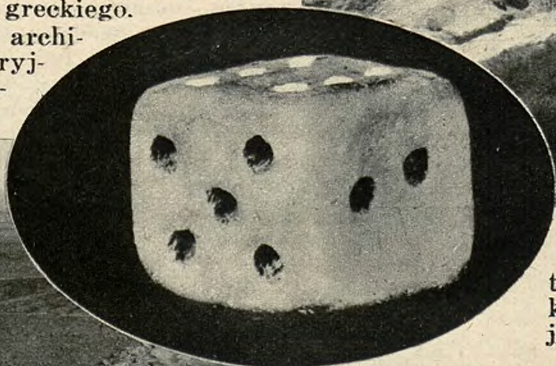
Wynalazkiem Akadyjczyków jest także pismo klinowe, stanowiące prototyp alfabetu greckiego.

W dziedzinie architektury Sumeryjczycy i Akadyjczycy są twórcami odrębnego stylu, którego wiele składników odnajduje się później w stylach doryckim jońskim i rzymskim.

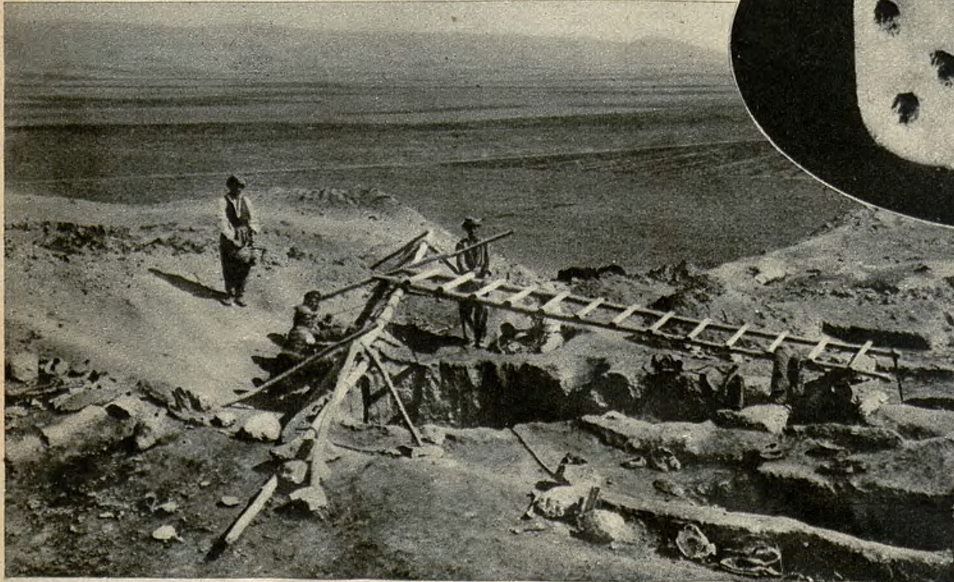
Cały świat naukowy z ogromnem zainteresowaniem śledzi przebieg badań ekspedycji amerykańskiej w Mezopotamji, gdyż rzucą one niewątpliwie zupełnie nowe światło na początki kultury europejskiej, która via Rzym, Grecja i Egipt czerpała pełnemi dłońmi ze źródła sumeryjskiego.



Ruiny świątyni w Tepe Gawre.



Już na 4.000 lat przed Chr. znano grę w kostki, jak świadczy o tem kostka znaleziona w Tepe Gawra.



Na ruinach miasta Tepe Gawra w Mezopotamji (3.500 lat przed Chr.).

MUZEUM MAJAKOWSKIEGO W KAZANIU.


Pokój w Kazaniu, zamieniony na muzeum, w którym pracował największy poeta Rosji sowieckiej Majakowski.

Nowa współczesność rosyjska wytworzyła kult dla nowych osób i rzeczy. Wiele kościołów zamieniono na muzea bezbożnicze, wielu wybitnym pionierom socjalizmu postawiono pomniki, wielu rewolucjonistów doczekało się gloryfikacji za życia.

Niezwykłym szacunkiem otaczana jest w Rosji sowieckiej pamięć tragicznie zmarłego Włodzimierza Majakowskiego, sztandarowego poety rewolucji, aczkolwiek — jak stwierdzono — muzy jego Lenin nie lubił. Majakowski, znakomity poeta nowoczesny, o atletycznym wyglądzie, bawił swojego czasu w Warszawie, gdzie zdobył sobie entuzjazm słuchaczy płomienną i porywającą recytacją. Poezje jego były nacechowane niesłychaną śmiałością i ogniem żarliwości; drgał w nich prawdziwie rewolucyjny nerw poetycki i żywiołowy temperament artystyczny. Majakowski, twórca znanego poematu p. t.: „Obłok w spodniach" i innych poematów, oraz kilku agitacyjnych sztuk teatralnych, zdobył sobie olbrzymią popularność przez swój marsz rewolucyjny p. t.: „Lewą, marsz!", którego wszystkie zwrotki kończyły się sugestywnym refrenem: „Lewa, lewa, lewa".

Majakowski popełnił samobójstwo z przyczyn bliżej niewyjaśnionych. Pewne koła (zagraniczne) usiłowały krok ten wyjaśnić tragicznem załamaniem się poety w stosunku do rzeczywistości sowieckiej, która nie dorosła do jego poetyckich marzeń, ale zdaje się, że tło samobójstwa miało podkład czysto życiowy: depresja i zmęczenie.

Na fotografji widzimy pokój Majakowskiego w Kazaniu, w którym wielki poeta żył i tworzył swoje najpiękniejsze wiersze. Stanowi on miejsce otoczone specjalnym kultem — niejako muzeum.

GROCK W POLSCE.

Któż nie słyszał o Grocku?

Znają go doskonale bywalcy kina i ci, którzy mieli szczęście gościć w zagranicznych music-hallach Paryża, Londynu, nowego Jorku itd.

Grock jest, ściśle mówiąc, lepszym klownem. t. zn. bawi publiczność różnemi kawałami a przedewszystkiem minami i ruchami, w których jest niezrównany. Publiczność zaśmiewa się, widząc tego starszego pana, ucharakteryzowanego komicznie, jak pewnie porusza się na scenie i wywiązuje ze swojego zadania.

Przez jakiś czas, a było to przed kilku laty, mówiono, że Grock syt chwały, usuwa się już w zacisze domowe, że dość ma występów, gdyż dorobiwszy się znacznej fortuny, pragnie pod koniec życia bawić przedewszystkiem siebie samego. Ale na szczęście wiadomości te okazały się nieprawdziwe. Grock wprawdzie zaprzestał występów, ale kiedy i jego kryzys położył na obie łopatki, wrócił na deski sceniczne.

Lata jednak robią swoje. Zarówno Londyn, jak i Paryż przestały już oklaskiwać swojego niedawnego ulubieńca. Występy jego przestały być światową atrakcją. Ale Grock jeszcze nie skończył się. Świat jest przecież szeroki i Europa centralna i wschodnia, nie mówiąc już o innych częściach świata, z chęcią zobaczą wielkiego komika, który umie łączyć wybitny talent z wysoką kulturą i stworzył swoisty styl, trudny do naśladowania. Grock bowiem, to jest Grock.


Słynny komik Grock występował w warszawskim „Rexie"

BUNIN LAUREAT NOBLA.


Iwan Bunin otrzymał nagrodę literacką Nobla za rok 1933.

Przed kilku dniami opinja literacka świata została poruszona — a raczej zaskoczona wiadomością, iż laureatem nagrody Nobla za rok 1933 został Iwan Bunin. Mało znany ten pisarz, należący do rzesz emigracji rosyjskiej, stale mieszkający w Paryżu, stał się w ten sposób — wbrew zasługom — przedmiotem zainteresowania — i z pewnością na giełdzie literackiej dzieła jego podskoczą o kilkadziesiąt procent.

Warto zapoznać się bliżej z życiem naszego laureata. Pisze on sam o sobie, co następuje (mamy w ten sposób próbkę jego stylu):

„Od dzieciństwa miałem wielkie skłonności do muzyki, malarstwa i rzeźby. W mieście powiatowem, gdzie uczęszczałem do gimnazjum, przez pewien czas mieszkałem u rzeźbiarza, który wykonywał pomniki. Dlaczego jednak mimo wszystko nie zostałem ani muzykiem, ani rzeźbiarzem, ani malarzem?

Drukować swoje utwory zacząłem pod koniec lat 80-tych. Moimi współczesnymi byli wtedy dekadenci i symboliści, którzy twierdzili, że rosyjska literatura znalazła się w ślepym zaułku, poczęła więdnąć i szarzeć, nie miała o niczem pojęcia, prócz realizmu i protokólarnego opisywania rzeczywistości. Poglądy te można poczęści wybaczyć. Dekadenci i symboliści w tym wypadku pozostali wierni dawnym obyczajom życia rosyjskiego, w którem każde 10-lecie miewało swoich osobistych bohaterów, pretendujących do nazwy soli ziemi, bohaterów, od których zaczynała się epoka.

We wczesnej młodości mieszkałem na wsi, zdala od stolicy. Mając lat dwadzieścia, znalazłem się po raz pierwszy na kilka dni w Moskwie i postanowiłem skorzystać z okazji, aby przynajmniej na chwilę zetknąć się ze światem literackim. Zdecydowałem się odwiedzić redakcję „Ruskiej Myśli". Szedłem oczywiście niezbyt spokojnie, gdy już jednak znalazłem się w poczekalni, dość śmiało i nawet ze zbytecznym hałasem poleciłem woźnemu, aby oddał moją wizytówkę „panu redaktorowi". Nagle z gabinetu wybiegł niemal prosto na mnie jakiś brodaty, barczysty jegomość. W podniesionej ręce sterczało pióro, rozdęte nozdrza drgały nerwowo, okulary groźnie połyskiwały.

— Wierszy — krzyknął, nie dając mi przyjść do słowa. — Nie, nie, mamy już zapas wierszy na pełnych dziewięć lat...

Później los pozwolił mi zapoznać się z literatem Niemirowiczem Danczenką, który dał mi następującą radę:

— Polityka głupstwo. Jedno tylko ważne: trzeba pisać i pisać. Ot, wy naprzykład, młodzi pisarze, poprostu przykro na was patrzeć. Dotykacie papieru tak nieśmiało, jak kot przebiega przez drogę po deszczu. A trzeba inaczej: kupić 480 arkuszy papieru, usiąść i nie ruszać się z miejsca, aż utwór będzie całkowicie skończony!

Bunin nie bardzo zastosował się do rady swego starszego kolegi. W ciągu długiego życia, (a urodził się w r. 1870), napisał zupełnie niewiele książek, z których największą poczytność zdobyła powieść „Wieś". W utworze tym, mającym cechy maniery pisarskiej Turgieniewa, a też nie pozbawionym wpływów Czechowa, ukazują się wszystkie zalety Bunina - stylisty: spokój opowiadania, jasność konturów, dobitność, w przeciwieństwie do nerwowości i niepokoju, tak charakterystycznego dla współczesnych jemu pisarzy rosyjskich.

Razem z Mereżkowskim i Aldanowem, Bunin opuścił podczas rewolucji ojczyznę. Paryż był dla niego wielkim zawodem. Za stary, ażeby jąć się jakiejś zarobkowej pracy, nie mając dochodów ze swoich dzieł literackich, popadł w wielką nędzę, nabawił się choroby nerwowej, w dodatku musiał przyglądać się ciężkiej chorobie swej żony. W r. 1927 poprawił się jego los — przyczem jednak jego duma musiała niemało ucierpieć. Oto na skutek starań przyjaciół, w pismach amerykańskich ukazały się odezwy, wzywające do składek na rzecz nieszczęśliwego autora, któremu grozi śmierć głodowa. Suma w ten sposób zebrana, pozwoliła mu dobić do obecnej chwili. Uzyskanie nagrody Nobla zmienia jego tragiczną sytuację finansową gruntownie. Warto jednak zauważyć, iż nie dostanie mu się cała nagroda. Pomiędzy kandydatami do nagrody Nobla w bieżącym roku, znajdował się również i Mereżkowski. Obydwaj ci pisarze i przyjaciele umówili się, że jeżeli jeden z nich dostanie nagrodę, to z drugim się podzieli. Ponieważ tym szczęśliwym jest Bunin, wobec tego zobowiązania musi dotrzymać.

Przyznanie nagrody Buninowi nie może nie budzić pewnych refleksyj. Nie po raz pierwszy to się zdarza, iż nagroda literacka Nobla przypada nieznanemu prawie literatowi. W zeszłym roku wielkie to międzynarodowe odznaczenie spadło zupełnie niespodzianie na głowę całkiem nieznanego poza granicami Szwecji poety Karffelda. Kilka lat temu znowu została wyróżniona zupełnie drugorzędna autorka włoska Grazia Deledda. Tymczasem wielkie naprawdę asy literackie nie mogą doczekać się słusznie należącej im się nagrody. Z wymienionych już trzech pisarzy emigracyjnej Rosji, Mereżkowskiego, Aldanowa i Bunina, ten ostatni z punktu widzenie artystycznego najmniej powinien mieć szans. Rozumiemy doskonale głębokie podłoże etyczne sztokholmskiego sądu konkursowego. Chciano w ten sposób pisarzowi, który w tym wypadku reprezentuje całe społeczeństwo na wygnaniu, osłodzić ostatnie chwile. Czy jednak ta polityka jest zgodna z warunkami fundatora? O tem, ażeby materjalne położenie pisarza miało rozstrzygać o nagrodzie, nie wspomina on zupełnie. Czyż nie byłoby zgodniejszem z duchem fundacji, gdyby z nadwyżek ogromnych dochodów, jakie ta fundacja przynosi, stworzono osobny fundusz subwencyj dla wartościowych i cierpiących nędzę pisarzy? Natomiast wielka palma Nobla powinna być przyznawana jedynie tylko tym, którym krytyka literacka przyznała prawdziwy prymat.

I. T.

EMIL AMMANN.

W służbie najbogatszej kobiety świata.

3

Sensacyjny reportaż szofera Miss Rockefeller.

Tak, ten parasol! Interesowałem się nim istotnie żywo, ale nie tyle ze względu na fluidum, jakie z niego promieniowało, wprowadzając w ruch aparaturę duchową pani Rockefeller, jak ze względu na jego zewnętrzną postać.

Był to bowiem niezwykle piękny parasol. Rączkę miał z masywnego złota. Jak się później dowiedziałem, pani Rockefeller strzegła go jak oka w głowie, bo stanowił drogocenną pamiątkę po jej przyjacielu Campaninim.

Kto był ten pan Campanini? Był to dyrektor opery w Chicago, a zarazem bożyszcze mojej pani. We wszystkich pokojach hotelowych wisiały jego portrety.

Czasem zjawiał się we własnej osobie w Zurychu. Wówczas otoczenie pani Rockefeller miało ciężkie życie! Nie mogła ścierpieć, żeby coś nie szło po jej myśli. Wszystko musiało się stosować do jej woli, tańczyć, jak zagrała. Nie troszczyła się zgoła o swego męża, nie zajmowała się dziećmi. A względem służby była poprostu okrutna.

O, ten dyrygent operowy! Jakżeśmy go przeklinali wszyscy! Gdy nadeszła zapowiedź, że przyjeżdża, nawet w garażu nastawał sądny dzień. Wszystkie motory musiały być nagle gruntownie zbadane i biada, gdyśmy zaniedbali świeżo polakierować wozy!

Niedosyć tego. Pani Rockefeller czuła potrzebę strojenia się w najbardziej wyszukany sposób. Sprowadzała najpiękniejsze i najdroższe tualety z Paryża i Wiesbadenu. Gdy była zadowolona, nosiła suknie cztery do pięciu razy, a potem kazała je wieszać w szafach, w których mieściło się przeszło 200 toalet, bucików i kapeluszy. Widziałem sam na własne oczy, jak Emma, z którą — jak już wspomniałem, wszedłem w bliski stosunek — płaciła rachunki za toalety w kwocie 46 tysięcy franków i więcej. I to w czasie, gdy miljony ludzi głodowały, albo krwawiły się w okopach strzeleckich!

Ale co do mnie, jeżeli mam być szczery, mogłem rozumieć dumę pani Rockefeller, gdy w towarzystwie maestra opuszczała pałac, aby udać się do teatru lub lokalu rozrywkowego. Campanini był pięknym typem mężczyzny, rosły, smukły, odznaczał się eleganckiem i wytwornem obejściem. Posiadał w wysokim stopniu to, co dziś określamy jako sex-appeal. Wątpię jednak bardzo, iżby jedynie i wyłącznie dla pani Rockefeller przyjeżdżał do Zurychu. Nie była ona przecie już młodą i nie była pięknością; zresztą Campanini starał się zwykle rozbijać swój namiot możliwie daleko od „dworu". Po dwu tygodniach znikał tak nagle i cicho, jak przybywał. Ostatni raz widziałem go w Zurychu w r. 1919. Niezadługo potem zmarł. Nie sądzę jednak, iżby umarł z tęsknoty za swoją bogatą protektorką.

Pani Rockefeller udaje się w podróż.

Czy uwierzyłby ktoś, że są ludzie, którzy nie mogą podróżować? Zdrowi, silni ludzie, którzy nie wiedzą, co to znaczy troska i niedola, którzy opływają w dostatek i którym niczego nie brak, prócz jakiejś pracy?

Tak, są tacy ludzie. Pani Rockefeller należała do nich. Po śmierci Campaniniego odczuła nagle potrzebę powrotu do Ameryki. Ale nie była to łatwa sprawa! Pani Rockefeller cierpiała na straszliwe „stłumienia", gdy miała wsiąść do pociągu lub wstąpić na okręt.

Zdaje się, że jeszcze przed wyjazdem z Chicago do Europy zawezwała do siebie doktora X., który, jak Emma mnie zapewniała, utrzymywał ją przez cały czas podróży w stanie hipnozy.

Nie chcę jednak twierdzić niczego, za cobym nie mógł ręczyć. Ale widziałem na własne oczy, jak pani Rockefeller trzęsła się ze strachu, gdy miała wsiąść do wagonu.

W tych warunkach dziwić się nie można, że termin naszego powrotu wciąż bywał odraczany i że moi chlebodawcy, którzy pierwotnie tylko kilka miesięcy mieli spędzić w Szwajcarji, pozostali w Zurychu przez siedem pełnych lat.

Ale wreszcie rzecz nieprawdopodobna miała się stać faktem, bo pani Rockefeller oświadczyła mi uroczyście:

— Ammann, zamierzam wracać do Chicago. Ale niestety nie mogę podróżować w wagonie kolei żelaznej. Muszę się przeto przyzwyczaić do podróżowania w samochodzie. Pan będzie ze mną jeździł, a ja panu za każdym razem powiem, ile kilometrów zniosę. Zrozumiał pan?

— Według rozkazu, proszę pani.

Nazajutrz zaczął się trening. I jaki trening! Punktualnie o godz. 8-mej zajechałem przed bramę hotelu. Wkrótce potem zjawiła się pani Rockefeller w towarzystwie sekretarki. Za niemi maszerował lokaj z bagażem podróżnym: dwiema małemi walizeczkami, które nie zawierały nic, prócz przyborów tualetowych i koszul nocnych. Długo to trwało, zanim panie rozsiadły się wygodnie i okryły pledami. A ja czekałem cierpliwie. Ciekawy byłem dowiedzieć się nareszcie, dokąd mamy jechać. Że jednak nie otrzymywałem żadnego zlecenia, zdecydowałem się wreszcie otworzyć drzwiczki samochodu i zapytać się o cel podróży. Pani Rockefeller wyglądała, jakby zbudziła się ze snu:

— O... prawda, nie powiedziałam panu jeszcze, co zamierzamy. Ammann, czy ma pan pojęcie, dokąd moglibyśmy pojechać?

— Dokąd pani rozkaże, proszę pani.

— No dobrze. Zatem jedź pan... do St. Gallen!

— Według rozkazu, proszę pani.

Puściłem motor w ruch i skorośmy tylko znaleźli się na gościńcu, wiodącym do Wintertur, zwiększyłem szybkość do 70 km. Nagle usłyszałem mocne stukanie w szybę. Była to pani Rockefeller, która wołał:

— Ammann, myślę, że będzie lepiej, jeśli pojedziemy do Bazylei.

— Jak pani rozkaże.

Zawróciłem i pojechałem w kierunku Bazylei.

W drodze absurdalna myśl przyszła mi do głowy. Co będzie, jeśli pani Rockefeller spodoba się w Bazylei przejechać granicę? Ja nie posiadałem paszportu, a moja pani nie troszczyła się o takie drobiazgi. Czy urządzi scenę urzędnikom? Albo czy zechce może udzielić im lekcji psychoanalizy? Ja chcę... wy musicie...

Mając głowę nabitą takiemi myślami, zmniejszyłem szybkość, dojeżdżając do Baden. Ale mój licznik wskazywał jeszcze wciąż 65 km., a fachowy automobilista wie, że z taką chyżością nie można jechać przez rojne ulice szwajcarskiego miasteczka. Ale na to moja pani nie zwracała uwagi, bo znowu usłyszałem jej głos:

— Ammann, dlaczego jedzie pan tak wolno? Przecież pan wie, że mi się bardzo śpieszy!

A, do stu tysięcy djabłów! Ze skóry można wyskoczyć! Swemi rozkazami i humorami kobieta ta przyprawi mnie jeszcze o utratę zmysłów! Ale robiłem, com mógł i dojechałem do Bazylei z szybkością 85 do 100 km. na godzinę, bez jakiegoś wypadku.

Ledwo jednak znalazłem się w mieście, moja pani znowu zastukała w szybę:

— Ammann, wracaj pan do hotelu!

Po dobrej godzinie szalonej jazdy dojechaliśmy szczęśliwie do Zurychu. Wprawdzie panie były blade ze strachu, gdy wysiadały z wozu, niemniej pani Rockefeller zatrzymała się u wejścia, rzuciła okiem na zegarek w bransoletce i z majestatem, godnym królowej, zauważyła:

— Ammann, nieźle się pan spisał. Do Bazylei potrzebował pan godzinę i 14 minut, a droga powrotna zajęła panu godzinę i 16 minut. Teraz zjedz pan szybko obiad, bo o godz. 2 minut 10 chcę znowu wyjechać. Zrozumiał pan?

— Zrozumiałem, jaśnie pani.

O oznaczonej godzinie pojechaliśmy znowu do St. Gallen, a stamtąd z powrotem do Zurychu. Był to już nielada kawał drogi, ale nasz program dzienny bynajmniej nie skończył się jeszcze, bo pani Rockefeller oznajmiła mi po powrocie tonem najzwyklejszym:

— O godzinie 10 minut 30 pojedziemy dalej. Proszę wóz przygotować.

Tego jeszcze brakowało! Ale jakież mogłem rościć sobie prawa do spoczynku w nocy wobec tych bogaczów, którzy rządzili się kaprysami i wybrykami chorobliwej fantazji. Bez słowa sprzeciwu wyruszyłem o oznaczonej godzinie znowu w drogę, tym razem w kierunku Glarus.

Zatrzymałem się przed pewnym hotelem. Pani Rockefeller wysiadła z samochodu, mówiąc:

— Ammann, zamówi sobie pan zaraz pokój w hotelu na noc. Ale samochód ma stać przed hotelem jak stoi. Bo może zmienię swój plan jeszcze w nocy i powrócimy do Zurychu.

— Jak pani każe.

Piękne to były widoki dla mnie w najbliższych dniach i tygodniach! W pierwszym dniu przejechałem 480 km. — i to wtedy, kiedy największa dozwolona szybkość na gościńcach szwajcarskich wynosiła 35 km. na godzinę!

Czyśmy nie mieli zatargów z władzami? Oczywiście raz po razu nas zapisywano i płaciliśmy grzywny. Ale niebawem policja tak dobrze nas już znała, że nawet nie zatrzymywano nas, ale przysyłano nam mandaty karne wprost do domu. I co miesiąc otrzymywałem od mojej pani polecenie, abym załatwił „rachunki" władz.

O godzinie 7 zbudzono mnie. Panna Emma, ubrana do drogi, stała przy mojem łóżku i oznajmiła mi, że pani Rockefeller za pół godziny pragnie wyjechać. W mig ubrałem się i pośpieszyłem do wozu, który cały był błotem opryskany.

W dwie godziny zajechaliśmy do Zurychu. Pani Rockefeller wyglądała bardzo źle. Szara, ziemista jej cera kazała się domyślać, że podróżniczka przez całą noc nie zmrużyła oczu.

Mimo to zaraz po powrocie zdumiała mnie nowem zlecenie, abym za godzinę był znowu gotowy do jazdy. Czasu, który mi zostawiła, starczyło właśnie, abym wóz oczyścił i zbiornik napełnił benzyną. Zaraz potem zjawiły się panie ze swemi miniaturowemi walizkami, aby zająć miejsca w samochodzie.

Pojechaliśmy do Berna, zrobiliśmy spacer przez miasto i bez zatrzymania się wróciliśmy do Zurychu.

Taki „trening" trwał przez pełne dwa miesiące bez przerwy. Czy może były to tylko dni i tygodnie? Nie pamiętam już tego. Zatraciło się we mnie wszelkie rozeznanie czasu i odległości. Sztywny, jak kawał drewna, trzymałem kierownicę. Ręce i nogi miałem zdrętwiałe, krzyże mnie bolały. Nie potrzebuję dodawać, że te nieprzerwane jazdy, w ciągu których przebywałem 500 i więcej kilometrów dziennie, bardzo dały się we znaki moim nerwom. W nocy, gdym leżał w objęciach Morfeusza, raz po razu zrywałem się ze snu. Gdym oczy otwierał, migały mi przed oczyma gościńce i słupy telegraficzne i liczyłem głośno przebyte kilometry: 50, 80, 100, 110...

Ale po dwu takich nieskończenie długich tygodniach, przyzwyczaiłem się do trudów. Stałem się automatem bez czucia. A kiedy pod koniec pierwszego miesiąca stwierdziłem, że przejechałem 12.690 kilometrów, a więc dziennie robiłem 423 kilometry, jedna tylko myśl nie dawała mi spokoju, myśl, skąd wziąć benzyny!

(Ciąg dalszy nastąpi).

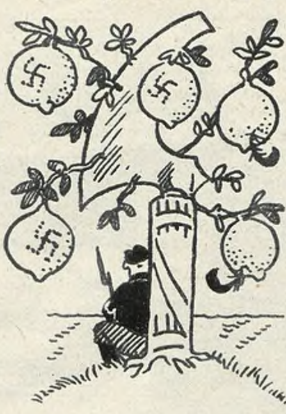


Pani Mac Cormick Rockefeller, bohaterka niniejszej powieści.

Istota hitleryzmu w satyrze austrjackiej.



Symbol wzięty z dalekiego Wschodu.



Idea z Południa.



„Führer" niewiadomego pochodzenia.

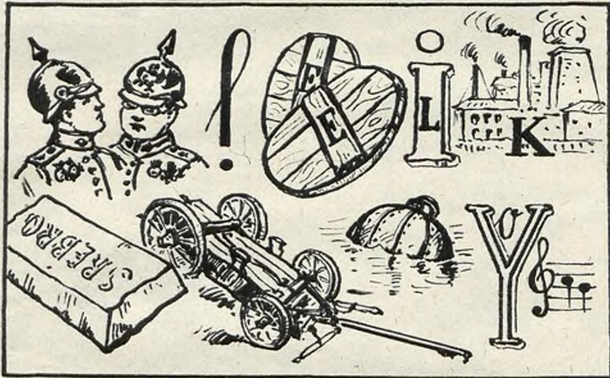


Obyczaje z Afryki.

Całość daje czystą „nordyjską" rasę.

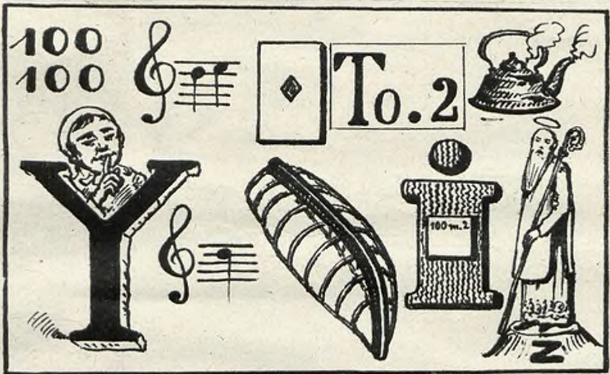
REBUS.

Z. Tietza.



REBUS.

Z. Tietza.



Za rozwiązanie powyższych rebusów, Redakcja „Światowida" przeznacza

trzy nagrody.

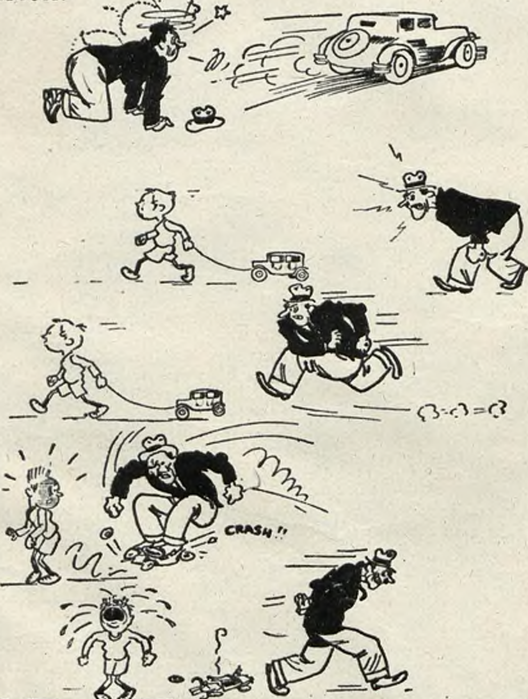
Pierwsza zł. 20.—, druga zł. 10.—, trzecia prenumerata miesięczna „Światowida".

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 2 grudnia 1933 wraz z kuponem.

Rozwiązanie z Nr. 45.

SZARADA: Pacyfikatorzy pomagają socjałom.
REBUS: Po dwustu pięćdziesięciu latach Wiedeń czci rycerzy polskich.

Zemsta.



Trafne rozwiązanie zagadek z Nr. 45 nadesłali:

A. Jarosz, Słonim; inż. J. Gilewicz, Warszawa; Stan. Beśka, Stołpce; Justyna Krasnodębska, Seroczyn; Franc. Grochocki, Warszawa; Wład. Wojtczakowa, Ozorków; Józef Maziarz, Ozorków; Kaz. Pycio, Pabjanice; M. Musiałowicz, Poznań; Bol. Jurczyk, Krynica; Wład. Wicherek, Czechowice; J. Świerczyńska, Lwów; Stan. Klapczyński, Poznań; Bol. Giersz, Luboń; Zenon Komorowski, Poznań; **Wit. Umiński, Bydgoszcz** (zł. 20.—); Z. Cegielska, Poznań; Józef Czołba, Poznań; T. Sobecki, Poznań; Włodz. Hoffmann, Warszawa; Marylka z Ino; Franc. Grochocki, Warszawa; Jan Koczwara, Bydgoszcz; Helena Ławrentjewowa, Poznań; H. Mikinowa, Poznań; Jadwiga Chęsiówna, Poznań; „Steff" z Poznania; „Sympatyk Enigmy", Poznań; Stefan Effert, Poznań; Zygmunt Korzeniowski, Żywiec; Sabina Jawlakówna, Poznań; M. Gasiński, Kraków; Ziutka, Żywiec; M. Jagusiński, Kraków; Edw. Kozłowski, Warszawa; M. Abramsohn, Łódź; Alicja Kuczewska, Warszawa; Marja Czajkowska, Warszawa; Eugenjusz Petrynowski, Kutno; Wł. Jankowski, Żywiec; Anna Loeglerowa, Lwów; Tadeusz Fijaś, Warszawa; Wojciech Ciepiela, Kraków; Helena Zielińska, Bnin; Maryla Szczyrbakówna, Kraków; Aleksander Cwynar, Kraków; Jerzy Sass, Krzeszowice; Jadwiga Lenartowska, Poznań; L. Lenartowski, Poznań; Zygmunt Tietz, Warszawa; Kaz. Chendyński, Nowa Wieś Śląska; Z. Słowikowski, Warszawa; Janusz Roman, Warszawa; Stan. Mikowska, Warszawa; Danuta Zaczkówna, Kraków; „Góralka" z Podhala; Marja Grzenia, Sianowo; Stan. Koper, Kraków; Alfreda Świtkowska, Lwów; Wład. Gajowa, Poznań; Stan. Muciał, Długoszyn; A. Schall, Lwów; Dorota Herbstmanówna, Warszawa; Jadwiga Tyblewska, Poznań; Buksz Berthold, Stawiszyn; Jan Obtułowicz, Żywiec; „Rozmaryn", Wilno; Irena Senze, Żychlin; **G. Marcinkowska, Sianowo (zł. 10.—)**; Jerzy Wyganowski, Wejherowo; St. Marynowski, Łódź; Kaz. Kasprzycki, Bydgoszcz; Czesław Kozłowski, Warszawa; ks. dr. H. Błasikiewicz, Sandomierz; Lola Dąbkówna, Kraków; Józef Kudyk, Kraków; Mich. Zaorska, Sosnowiec; Józef Klima, Kraków; N. Kaz. Kozłowski, Warszawa; M. Strubel, Warszawa; Jawna Kowalska, Warszawa; Baltazar Sobocki, Zbiersk; kpt. L. Hauschild, Nowy Targ; J. Stefańczyk, Pabjanice; Helena Ułanowska, Włochy pod Warszawą; Eugenja Kasztelewiczowa, Stanisławów; M. Marcinkowski, Sianowo; Juljan Kowal, Stołpce; M. Hirschenfeld, Węgrów; Wacław Gąsiorowicz, Łęczyca; **Barbara Ulewiczówna, Strzemieszyce (prenumerata miesięczna „Światowida")**; „Niezapominajka"; „Tuberoza"; Z. Ptaszyńska, Oświęcim; Czytelnia T. S. L., Węgierska Górka; inż. J. Modrzejewski, Lublin; K. Brok, Dąbrowa Górn.; Leopold Klementowski, Tarnopol; sierż. Sergjusz Bohdanow-Bezkostny, Słonim; Jerzy Bielesz, Kraków.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Wit. Umińskiego, Bydgoszcz (zł. 20.—), G. Marcinkowską, Sianowo p. Mirachowo (zł. 10.—) i Barbarę Ulewiczówną, Strzemieszyce (prenumerata miesięczna „Światowida" od 1—31. X. 1933).

Nagrody pieniężne, redakcja „Światowida" prześle niebawem.

Marjackie gołębie na tułaczce.



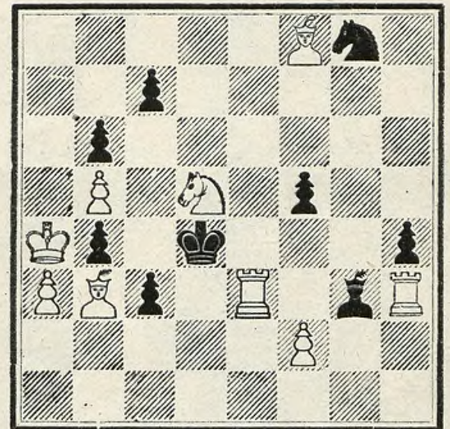
Osobliwością Krakowa są gołębie, które od wieków gnieździły się na wieżach kościoła Marjackiego. Od kilku lat jednak zamknięto im dostęp do ich schronisk, ze względu na wyrządzane szkody. Obecnie więc gołębie tułają się po całem mieście. Nie brakuje ich jednak nigdy na pl. Marjackim, gdzie karmione są przez swoich przyjaciół. Także na plantach obok Barbakanu zarezerwowane jest specjalne miejsce dla karmienia gołębi.

DZIAŁ SZACHOWY

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

P. Bowater (Pasadena) (Brit. Chess. Mag. 1933).

Czarne: Kd4, Gg3, Sg8, piony: b4, b6, c3, c7, f5, h4 (9).



Białe: Ka4, We3 h3, Gb3 f8, Sd5, piony: a3, b5, f2 (9).

3-chodówka. 9+9=18.
Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie 3-chodówki P. Bowatera:

1. G—d6! (grozi 2. S×c7); **I.** 1... G×d6 (G—h2) 2. W—d3+ i 3×; **II.** 1... c5 2. W×h4 i 3×; **III.** 1... G—f4 2. S×f4 i 3×; **IV.** 1... f4 (G×f2) 2. G—e5 i 3×.

PARTJA.

Białe: **Dr. A. Alechin** Czarne: **Frentz**
grana w turnieju międzynarodowym w Paryżu w r. b.

Obrona sycylijska.

1. e4 c5
2. S—f3 S—c6
3. d4 c×d4
4. S×d4 S—f6
5. S—c3 d6
6. G—g5 **(1)** H—a5
7. G×f6 g×f6 **(2)**
8. G—b5 G—d7
9. 0—0 0—0—0? **(3)**
10. S—b3 H—b6
11. a4 a5 **(4)**
12. S—d5 H—a7
13. H—d2 Wh—g8
14. K—h1 f5
15. f3 K—b8 **(5)**
16. e×f5 G×f5
17. G×c6 b×c6
18. S×a5! H—c5?
19. S—b4! K—a8
20. Sb×c6 W—c8
21. c4 W×c6
23. H—a5+ **Czarne poddały się.**

UWAGI:

(1) Ideą tego posunięcia jest uniemożliwienie fianchettowania gońca czarnego na polu g7. Dawniej grywało się zwykle 6. G—e2.

(2) Najlepszem posunięciem jest solidne 6... e6.

(3) Na to tylko czekał mistrz świata. Należało grać 9... e6.

(4) Białe groziły zdobyciem H przez S—d5. Nieodzownem było 11... e6, chociaż w tem położeniu było to już niewystarczającem.

(5) Daje przeciwnikowi sposobność do następującej dowcipnej kombinacji, ale ratunku już w tej sytuacji nie było.

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9. Tel. 551-90 i 551-91.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Prenumerata kwartalna zł. 6.50. Zagranicą zł. 9.50.
Prenumerata miesięczna zł. 2.20. Zagranicą zł. 3.20.
Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON Nr. 48 *upoważniający do losowania nagrody* za rozwiązanie zagadek z 25-go listopada 1933 r.